DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLINSKIEGO“
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 28 maja 1922 r. | Nr. 11.

MYŚLI.

Matkom trzebaby wmówić tę prawdziwą maksymę, że wszystko, co one starań dają swoim dzieciom, dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom powinny. Jest to dług, zaciągniony od rodziców, a dzieciom wypłacony; stąd uważałem, że kochani niegdyś przez rodziców ludzie najwięcej dzieci swoje kochają...

Biada tym, którzy zasmakują w błędnem życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki: w oczekiwaniu takiem wszystko teraźniejsze niesmaczne.

Słowacki
(Listy do matki).

Polowanie z sokołem.

Gdy jesień smugami ściernisk poczyna tu i ówdzie złocić pole, a osty ronią już z wiatrem swe puszyste główki, serca łowców silniej uderzają.

W dawnych czasach w Polsce w dworach i dworkach rozpoczynał się ruch osobliwy. Służba pod dozorem samego pana porządkuje broń; z młodemi wyżłami odbywają się przed wyjściem w pole ćwiczenia w aportowaniu, warowaniu i innych obrotach łowieckich. Dojeżdżacze prowadzą dorastające charty na smyczy, przy koniu, by się dobrze koło podjezdka wyuczyły chodzić, tudzież dlatego, aby koń, jeśli świeżo ujeżdżony, na biegnące przy sobie psy nie wierzgał i niemi się nie płoszył. Posłyszawszy odgłosy trąbek i rogów próbowanych przy czyszczeniu, wyją i naszczekują zamknięte w psiarni ogary.

Bywało tak u nas dawniej, ale i dziś jeszcze gdzieniegdzie w większych posiadłościach lub dalekich zaściankach spotkać można owe przygotowania myśliwych. Wśród borów ogary, a na równinach i przestronnych polach charty służyć mogą zawsze ku miłej zabawie łowieckiej. Zniknął tylko sokół. Zdawałoby się, że właśnie ten rodzaj polowania u ludzi zamożnych, wśród których o konie wierzchowe i o dobrych jeźdźców jeszcze nie trudno, powinien był przetrwać do dzisiaj.

W dawnej Polsce polowanie z sokołem stanowiło jedną z najlubieńszych rozrywek szlachty, a układanie do łowców sokoła wymagało wielkiego starania. Sokół, z natury dziki i drapieżny, nie łatwo ulegał woli myśliwca. To też najpierw musiano go ugłaskać, ułagodzić i oswoić z człowiekiem przez ciągłe noszenie na ręce. Naturalnie, że ręka odziana była w grubą rękawicę. Sokół stawał się z czasem mniej dziki i poczynał brać jadło z ręki. Wtedy można było zająć się tresurą, która polegała głównie na tem, aby sokół uchwyciwszy zdobycz, powracał do swego pana. Sokołom w czasie spoczynku głowę nakrywano kapturem. Przy nauce w chwili puszczania na zdobycz zdejmowano kaptur. Za każdym razem na wabiący głos pana ptak winien był wrócić na rękę i otrzymywał kawałek mięsa w nagrodę. Z początku puszczano sokoła najczęściej w skórzanem pęcie, z dzwonkiem na szyi, by łatwiej go było odnaleźć, lub też na długim sznurze. Młode, z gniazd wybrane sokoły, zwane „gnieźniki“, trzymano na drzewie lub na poddaszu. Latały one za zdobyczą swobodnie, ale uczono je zlatywać się do karmienia na odgłos kołatki. Gdy podrosły, łapano je, poczem, przyodziane w kaptur, szły do izby na naukę.

Do polowania używano zwykle sokołów lekkich, zwanych „dziwoki“, a na grubą zwierzynę, podolskich białozorów, wielce drapieżnych i silnych. Te dosyć rzadkie i cenione, służyły nieraz jako dary dla ościennych dworów monarszych. Największą osobliwość w rodzinie sokołów łowieckich stanowił „raróg; stąd nawet powstało przysłowie: „Patrzeć, jak na raroga“.

Wielce malowniczy widok musiał przedstawiać dwór ówczesny, wyruszający na łowy w piękny dzień miesiąca sierpnia lub września. Bogate stroje XVI w., piękne rumaki pod złocistemi rzędami (uprząż) szły o lepsze z krajobrazem słusznie sławionej jesieni polskiej, gdy lasy w różnobarwnej szacie przeglądają się w czarnem zwierciedle bagnisk, a pozłocone jesiennem słońcem oczerety ujmują w jasne ramy ciemny lazur jezior i stawów. Nad tem wszystkiem przyćmiony nieco oparami roztacza się błękit nieba, pogodę długą zapowiadając lekkim, jednostajnym podmuchem południowego wiatru.

Wtem przed orszakiem myśliwych pomknął szarak. Sokolnik szybkim ruchem ręki zerwał kaptur z głowy jednego z większych sokołów. Ptak, oślepiony z początku blaskiem słońca, zdaje się przez chwilę rozpoznawać pole walki, poczem wzlatuje ku górze i wnet bystrem okiem dostrzega uchodzącego zająca. Kilkanaście silnych ruchów skrzydeł i już jest nad swą ofiarą. Jeźdźcy z kopyta ruszyli za ptakiem. Po kilku uderzeniach z góry wbija sokół szpony w grzbiet biednego zwierza, a silnych dziobem ogłusza i oślepia zdobycz. Rozpaczliwy krzyk zająca wskazuje, dokąd należy pośpieszyć, aby przywołać sokoła na rękę lub berło, nim znacznie szarpać upolowaną zwierzynę.

Tymczasem innego sokoła puszczono za stadem ciągnących żórawi lub czapli i tu dopiero wrze walka na dobre. Posłano mu na pomoc drugiego towarzysza. Mimo to zwycięstwo nie zawsze jest po stronie napastników; często bowiem sokół zbyt ostro napadający staje się ofiarą swej zapalczywości, przebijając

pierś na ostrym dzióbie czapli lub żórawia. Myśliwi, rozdzieleni na dwa oddziały, śledzą, podjeżdżając, wynik walki. Dudni step pod kopytem rumaków, a wesołe okrzyki towarzyszą pomyślnym obrotom skrzydlatych ulubieńców.

Do łowów na drobne ptactwo używano także jastrzębi i krogulców, a nawet najmniejszego z tego rodu, kobucza.

Jak ceniono w dawnej Polsce łowy z sokołem, dowodzi prawo, zawarte w statucie litewskim, które orzeka, iż: „Ktoby komu umyślnie sokoły pod gniazdem podkłół albo z gniazda sokoły młode pobrał, zapłaci sześć rubli kary“.

Miłość braterska.

W miejscu, na którem wznosi się Jerozolima, była niegdyś uprawna rola. Należała ona do dwu braci.

Gdy żniwo było ukończone, bracia podzielili swoje snopki na dwie równe części i zostawili je w polu.

W tem w nocy jeden z braci pomyślał sobie:

— Jestem sam jeden, a mój brat ma żonę i dzieci. Byłoby niesłusznie, gdybym miał tyle zboża, co i on.

Podniósł się z posłania, poszedł w pole, wziął kilka swoich snopków i dorzucił je do części bratniej.

— Nie domyśli się tego, co zrobiłem, bo gdyby się dowiedział, nie chciałby przyjąć.

Tego samego dnia nad ranem przebudził się drugi brat i pomyślał:

— Mój brat jest młodszy odemnie, nikt mu nie pomaga w pracy; niesłusznie byłoby, gdybyśmy z roli mieli jednakowe zyski.

Powstał wtedy, poszedł na pole i kilka swoich snopków dołożył do bratniej kopy.

— Nie domyśli się tego, co zrobiłem — rzekł do siebie. — Inaczej odmówiłby mi.

Nazajutrz obaj bracia udali się w pole. Zdziwili się niepomału, gdy ujrzeli, że ich działy były równe.

Następnej nocy zrobili tak samo, lecz ponieważ dokładali sobie wzajemnie jednakową ilość snopków, nic się nie zmieniało.

Aż nareszcie trzeciej nocy spotkali się z sobą w połowie drogi ze snopami w rękach.

Teraz zrozumieli, dlaczego ich działy były ciągle równe. Rzucili snopy na ziemię i uściskali się czule.

W miejscu, na którem dwaj bracia złożyli taki dowód serdecznej miłości braterskiej, wystawiono później świątynie.

Dobroć.

Tak mało na świecie dobroci,
 A tyle jej światu potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
 Nią ziemia zbliża się do nieba.
Potęga jej w sercu poczęta
 Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
 Litośnie pod skrzydła swe garnie.
Aż leśne ptaszyny oswoi,
 Że same do rąk się jej zlecą.
I serca najdziksze rozbroi,
 Że same dobrocią zaświecą...

Lucjan Rydel.

Spełnione życzenie.

Nie było we wsi chłopaka drugiego takiego, jak Bartek; ładny, poczciwy, roztropny — pociecha i nadzieja rodziców, którzy też — zwyczajnie, jak rodzice — marzyli, że Pan Bóg wie co jeszcze z jedynaka wyrośnie.

Ale spytać się go było samego, to powiadał, że niczem innem nie będzie, tylko kowalem, ale takim jak tato, co to i konia się nie bał, żeby jaki był bystry, ani młota, choćby jak ciężkiego, ani ognia, choćby jak gorącego.

Za kowala domostwem niedaleko zaczynał się las. Bartek każdą w nim ścieżkę znał. Zdarzyło się raz, że, nadreptawszy się w lesie dosyć i naschylawszy się za poziomkami, usiadł sobie pod starym bukiem, aby spocząć trochę. Przed nim otwierała się szeroka polana, gąszczem krzaków zarosła, z których tu i ówdzie wystrzelał młody dębczak, brzózka lub sosenka. Słońce chyliło się ku zachodowi i złotem oblewało świeżą zieleń. Taka w powietrzu była cisza, że nie poruszał się i liść żaden. Tylko ptaszki odzywały się, a Bartek patrzał i słuchał: „To dzwoniec, a to wilga! To dzięcioł“.

Wtem wśród gąszczu ujrzał jakąś obcą staruszkę, wlokącą się mozolnie o kiju. Zgarbiona we dwoje, ubrana w powłóczystą, szarą suknię, dźwigała kobiałkę z wszelkiego rodzaju zielskiem. Naraz coś ją zatrzymało: to suknia zaczepiła o pręt ożyny. Wzrok jej padł na siedzącego chłopaka, ale jeszcze nie zdążyła ochrypłym głosem dokończyć wezwania, by jej pomógł, a Bartek, zawsze usłużny, już poskoczył i odplątał zadzierzystą gałąź. Baba zaś do niego: „Przysługa niewielka, sowita zapłata; czego zapragniesz — powiedz, ja spełnię; tylko roztropnie, byś nie żałował.“

Chłopiec, niewiele się namyślając, odpowiada, że chciałby być duży i mocny, jak ojciec. Jeszcz tylko widział, jak baba kij podniosła i jakieś znaki nad jego głową robić zaczęła, słyszał, że jakieś wyrazy wymawiała niezrozumiałe — potem coś go zamroczyło. A gdy znów przyszedł do siebie i przetarł oczy — patrzy: zmierzch go otacza, on siedzi oparty o buk, a nogi dalekie jakieś od niego i duże, choć to własne nogi jego, a na miejscu polany spory las, a przez gęste gałęzie słońce zachodzące strzela czerwonemi światłami.

Wstał: jakby na pniaku stanął lub na stołku. Nieswojsko mu było. „Do mamy!“ pomyślał i poszedł... ale wolno.

Wychodzi wreszcie z lasu, a tu inny jakiś dom, nowszy, okazalszy na miejscu ojcowego i kuźnia inna. Wchodzi na podwórze nieśmiało — obcy ludzie na niego patrzą, zdziwieni i jakby pytający, co on zacz.

Słowo po słowie, dowiedział się wkońcu od gospodyni, że kowal, co tu dawniej siedział, latami z żoną za zbłąkanym synem szukali po całej okolicy, że stary Jan w rzemieśle się zaniedbał z żalu, że mu pożar kuźnię i domostwo całe zniszczył, że przy gaszeniu nabawił się choroby i niebawem umarł...

— A matka? — pyta Bartek.

Domyśliła się młoda kowalowa już przedtem, że z Janowym synem mówi, a gdy przyznał się teraz wyraźnie, że to on jest Bartek, litość ją większa jeszcze zdjęła i zaprosiła go, aby u nich zamieszkał — mąż, gdy nadejdzie, z pewnością zezwoli — i żeby zaczekał, aż wróci jego matka, bo po śmierci ojca wybrała się w świat — szukać syna.

O zostaniu Bartek ani słyszeć nie chciał. Zapytał tylko, w którą stronę poszła matka, pożegnał się krótko i poszedł.

* *
*

Szedł i pytał. Aż wreszcie zaszedł do samotnego na pustem polu dworku. W bramie stał dziwny jakiś człowiek. Czarne miał włosy, czarne pod krzaczastemi brwiami oczy, czarną brodę po piersi i czarną odzież. A patrzał na Bartka, jakby wiedział, że przyjdzie i jakby umyślnie na niego tu czekał. „Służby szukasz?“ — spytał. „Nie służby szukam, tylko matki. Tyle a tyle lat temu mogła przejść tędy. Wyglądała tak a tak i szukała zbłąkanego syna.“ „Ani jej nie znam“, odrzecze czarny, „anim jej nie widział. Posłuż rok u mnie, to ją zobaczysz, chyba, że zmarła.“

Nie było nad czem się namyślać. Bartek stanął do służby.

A nie była to lekka służba. Czarny człowiek zaprowadził go do stajni, gdzie stała trójka czarnych koni, a każdy przykuty czterema łańcuchami żelaznemi do żelaznych słupów. Bo nie stać im było na ziemi, tylko wichrem gnać po powietrzu. Czarny człowiek co noc je zaprzęgać kazał do żelaznego rydwana, w którym następnie wzbijał się nad chmury i pędził światami. Za dnia miał ich Bartek doglądać, karmić i poić. A one gryzły żelazne żłoby i łańcuchy, zrywały się i wierzgały.

Każde ukąszenie — śmierć, każde kopnięcie — śmierć! Nie zważał na to Bartek, tylko obsługiwał potwory wiernie i liczył dnie. Aż się doliczył. Czarny człowiek po roku powiada do niego: „Minął twój czas. Oto, com przyrzekł“ — i podał mu małe żelazne zwierciadło. — „Gdziekolwiek on jest, ktokolwiek on jest, gdy go zawołasz, ukazać się musi, chyba, że nieżyw.“

Nie takiego spełnienia umowy spodziewał się Bartek, ale nic nie mówiąc, wybiegł i zawołał: „Mamo!“ i spojrzał w zwierciadełko. Zrazu zakłębiły się w niem chmury, potem rozstąpiły się i ukazała się droga, a drogą szła matka zmieniona, stara, pochylona. Kogo spotkała, zatrzymywała, widocznie pytając przy wrotach zagród stawała, przy drzwiach domów.

A ludzie tylko głowami wstrząsali pomału.

„Żyje, muszę ją znaleść!“ — pomyślał Bartek i poszedł dalej.

* *
*

Aż jednego dnia, gdy szedł drogą, przez bór stary wiodącą, patrzy — a tu dom stoi samotny. W bramie stał człowiek w siwem ubraniu, o siwym włosie, z siwą do pasa brodą i z pod krzaczystych siwych brwi patrzył takiemi oczyma na Bartka, jakby czekał na jego przyjście. „Służby szukasz?“ — zagadnął. Bartek na to: „Nie służby szukam, tylko matki.“ I opisał staruszkę, jak ją widział w zwierciadle czarodziejskim. A siwy człowiek na to odpowie: „Ani jej nie znam, anim jej nie widział. Służ mi dwa lata, to ją usłyszysz, chyba, że zmarła.“ Przystał Bartek do starca na służbę. A nie była ona lekka. Bo zaprowadził go siwy człowiek do podziemnego chodnika i ciężkim młotem kazał skały odwalać, aby wykuć drogę do wnętrza ziemi, gdzie wiedział, że rubin rośnie, którego blask, jak drugie słońce, czarną noc zamienia w jasny dzień. Pracował Bartek ciężko. Nieraz zdawało mu się, iż ramiona ze stawów mu się wyłamią. I dnia nie widział przez dwa lata, aż człowiek siwy raz stanął przed nim i powiada: „Minął twój czas.“ I dał mu skorupkę z ślimaka. „Oto, com przyrzekł; przytknij do ucha; kogo zawołasz, gdziekolwiekby był, głos jego usłyszysz, chyba, że nieżyw.“

Wybiegł Bartek na drogę, wyjął zwierciadło, przyłożył skorupkę do ucha, zawołał. Naprzód usłyszał jakby grzmot oddalony, a potem matki głos: „Czyście ludzie mego Bartka nie widzieli? Wielki już musi być, matkę i ojca porzucił; nie porzucił, tylko go porwali. Zlitujcie się, oddajcie mi go, powiedzcie mi choćby tyle, że zdrów, a gdy nie zechce wrócić do maatki, niech nie wraca, tylko widzieć go chcę raz, tylko wiedzieć, że mu dobrze.“

Nie chciał Bartek słuchać. dalej. Schował skorupkę i zwierciadełko, zacisnął zęby i pomyślał: „Żyje Żyje znaleść ją muszę, choćbym nogi po kolana miał schodzić, choćbym ręce po łokcie miał spracować!“ I poszedł drogą

* *
*

Aż zaszedł w góry między głazy, na których i drobna trawka nie rosła, ani mech nawet. Patrzy, stoi przed białym, marmurowym pałacem starzec w białem, jak śnieg, ubraniu, z brodą białą po kolana i z pod zwisających białych brwi czerwonemi oczyma patrzy na niego, jakby go wyglądał już oddawna: „Służby szukasz?“ — powiada. A Bartek na to: „Będę wam służył. Każcie mi robić, co chcecie, tylko mi do matki wskażcie drogę.“ A starzec znowu: „Ani jej nie znam, anim jej nie widział. Służ mi trzy lata, głos twój posłyszy, chyba, że zmarła.“

Nie lekka to była służba, którą przyjął Bartek. Dniem i nocą miał palić pod siedmioma kotłami, stojąc pośrodku. W każdym kotle inne gotowały się gady, zioła, kamienie, a war jadowity kipiał i pryskał, a Bartkowi ciało do kości oparzał. „Pryskaj, licho!“ — mówił Bartek, przez zęby i kładł kłody pod kotły i uwijał się wśród płomieni, jak potępieniec w piekle. A miała być z tego waru kąpiel dla starca, w której chciał się odmłodzić znów na sto lat.

Zawołał wreszcie biały człowiek na Bartka: „Minął twój czas! Oto, com przyrzekł“ — i dał mu mały róg i powiada: „Gdziekolwiek jest, ktokolwiek jest, zawołaj przez róg, głos twój usłyszy, chyba, że nieżyw“.

Wybiegł Bartek na drogę, wyjął zwierciadełko i zawołał. Matka siedziała pod lipą na darni, otoczona dziećmi, które ciekawie a nieśmiało patrzyły na ślepą babę; koło niej leżały dwa kije. Wyjął skorupkę i usłyszał, jak wypytywała dzieci, czy Bartka nie widziały, czy nie słyszały o nim. Ręką drżącą podniósł do ust różek, przyłożył — i jakby piorun go przeszył. Zawołał wreszcie: „Mamo, to ja, Bartek!“ Nic więcej z gardła wydobyć nie mógł. Tylko jeszcze widział, jak chude ręce wyciągnęła w stronę skąd usłyszała gos syna, jak uśmiech szczęśliwy opromienił jej twarz, jak zatoczyła się i padła na murawę nieżywa.

* *
*

Słońce zaszło, słońce wstało, a Bartek, jak usiadł bezwiednie na kamieniu przydrożnym, tak siedział. Wstał wreszcie, pozbierał czarodziejskie dary, leżące u jego nóg i ruszył. Dokąd — o to nie dbał. Spotkał dwoje dzieci na drodze, dźwigających do spółki spory koszyk malin. Sięgnął w zanadrze, wyjął rożek, skorupkę i lusterko. „Macie, dzieci, bawcie się!“ Nie odpowiedział nic na ich „dziękuję“ i poszedł dalej.

I szedł tak, sam nie wiedział, ile dni, czy tygodni, czy miesięcy, aż go coś tknęło. „Tu gdzieś kiedyś byłem!“ A to go w domowe strony zaniosło. „Niech i tak!“ — i poszedł znanemi ścieżkami do lasu za kuźnią. Znalazł stary buk i siadł pod nim, jak za lat dawnych. Nachodził się dość i naschylał, był zmęczony. A w powietrzu taka była cisza, że i liść na drzewie nie drgnął. Z za gęstych koron żarzyło się parę płatków czerwonego nieba wieczornego. Tu i ówdzie dzwoniec się odezwał, dzięcioł zastukał. Zdala słychać było uderzenia młotów kowalskich. I sam nie wiedział ‚jak mu z piersi wydarły się słowa: „Wiedźmo przeklęta, matkę mi oddaj, ojca, lata dziecięce!“

Wtem zrobiło mu się mroczno. Tylko jeszcze widział przed sobą kobietę starą w szarem ubraniu; w lewej ręce trzymała kobiałkę z różnorakiem zielem, w prawej kij, i jakieś nim znaki robiła nad jego głową. Wymawiała przytem wyrazy jakieś; zrorumiał tylko ostatnie: „Czemuś nie przyszedł prędzej?“ Przeciera oczy, patrzy — nad nim stoi nachylona matka ! Jak się nie zerwie, jak się jej szyi nie uczepi! Ledwie się podniosła i śmiejąc się, mówi: „Puść, bo udusisz mamę!“ A on wisi u jej szyi, nogi jego ziemi nie dostają i szepce: „Matusiu, ja nie chcę szybko rość, tylko całkiem powolutku“. „A któż ci, głuptasku, szybko każe rosnąć? Ale teraz śpieszmy do domu, bo ojciec, głodny po robocie, na wieczerzę czeka“.

I poszli do domu, a prędko.

Rozmaitości

Małpa i lwy.

Lwy mają silnie rozwinięte uczucie przyjaźni i — szczególne — obdarzają nią często stworzenia znacznie słabsze.

Pewnego razu dwa młode lwy przybyły do Hamburga z głębi Afryki. Pomiędzy zwierzętami, które razem z niemi przywieziono stamtąd do Europy, była też małpka koczkodan. Drapieżniki zaprzyjaźniły się z małem czwororęcznem zwierzątkiem. Była to taka nierozerwalna przyjaźń, że gdy lwy przewożono przez pustynię w klatkach, małpkę musiano uwiązać do prętów tej samej klatki.

Sąsiadując tak z sobą, przyjechały zwierzęta na stały pobyt do Hamburga. Tu ich również nie rozłączono; dano im na mieszkanie jedną dużą, wspólną klatkę, gdzie trójka ta zgodne bardzo pędziła życie. Bawiły się całemi dniami razem, razem jeść dostawały i trwała między niemi ciągła, niezamącona niczem zgoda.

Lecz raz stało się coś strasznego: małpka, swawoląc, zabrała lwu kość; naraziła się królowi pustyni — i przypłaciła to życiem. Uderzył ją lew potężną łapą, uderzył biednego trefnisia (błazen), swą małpkę pocieszną. On, który nie chciał nigdy najmniejszej krzywdy wyrządzić małpce, który i teraz chciał lekko tylko ją skarcić, stał się mimowoli winnym jej śmierci.

Gdy lwy zrozumiały, co zaszło, gdy się przekonały, że małpka nie żyje, ogarnął je straszny żal. Całemi dniami biegały po klatce, mrucząc i skomląc żałośnie, i nie mogły przez długi bardzo czas zapomnieć o swym nieszczęśliwym towarzyszu zabaw.

Zapadające się miasto.

Miastem, które zapada się powoli, jest Seranton w Pensylwanji, środowisko zagłębia węglowego, dostarczające przedewszystkiem doskonałego antracytu. Miasto to, które liczy 137 000 mieszkańców, wedle doniesień pism amerykańskich, zwolna grzęźnie w ziemię.

W ostatnich czasach zapadło się wiele domów, a pod gruzami ich zginęła znaczna ilość ludzi. Obecnie grozi zawaleniem 300 domów,, a cała dzielnica,, w której domy te się znajdują, została skutkiem grozy niebezpieczeństwa wyludnioną.

Zaniepokojenie mieszkańców wzrosło jeszcze skutkiem jakichś podziemnych huków, podobnych odgłosom, rozlegającym się przy trzęsieniu ziemi.

Najbardziej ucierpiała dzielnica, zwana „Wsią Minorki“; nawiedziły ją silne wstrząśnienia podziemne; ludność gorączkowo pracuje obecnie nad umacnianiem walących się domów i zażegnaniem dalszego niebezpieczeństwa.

Domy... ze słomy.

Na terenach zniszczonych wojną we Francji przystępuje się obecnie do budowy domów ze słomy. Rzecz ta wydaje się zrazu śmieszna i nieprawdopodobna, a jednak stwierdzono, że mieszkania takie są trwałe i odporne na zmiany temperatury. Wedle opisu gazet francuskich, domy takie posiadają ściany ze zbitej gęsto słomy, ujęte jakby w ramę z drzewa lub z żelaza.

Domy takie odznaczają się, rzecz prosta nadzwyczajną lekkością, są bardzo łatwe do stawiania i mają przytem tę największą zaletę, że ogromnie są tanie. Dzięki specjalnemu zabezpieczeniu wilgoć nie przenika zupełnie do tych słomianych domów; specjalny również system wentylacyjny, który pozwala na dezynfekowanie ścian siarką, chroni domki te przed inwazją rozmaitych nieporządanych pasorzytów.

Humor i satyra.

Przezorna.

— Nie płaczcie tak, Marcinowa, nieboszczyk już nie wstanie.

— Oj;... biednaż moja głowa... A schowajta do kuferka gromnicę, to się drugiemu przyda.

Na ulicy.

Przechodzień do chłopca, który oprowadza żebraka ociemniałego:

— Od jak dawna ojciec twój nie widzi?

Zwykle od 7-ej godziny z rana, do 8-mej wieczorem.

* * *

Bądź jak owca, a zjedzą cię wilcy.

Jest rada.

— Idziesz więc za wdowca, a jeżeli ci będzie wspominał o swojej pierwszej żonie?

— To ja mu wtedy zacznę opowiadać o moim trzecim mężu.

Porada bezpłatna.

— Ach, doktorze, dobrze, że cię spotykam... Poradź mi co na katar.

— Noś pan chustkę do nosa.

— Czy wystarczy?

— Jak nie wystarczy jedna, noś pan dwie.

Z praktyki lekarskiej.

— No, niech pan teraz odetchnie całymi piersiami.

— A to już chyba jutro, mój doktorze, jak żona wyjedzie do krewnych.